

Moje czterdzieste urodziny postanowiliśmy wraz z żoną i córką uczcić w gorącej i intrygującej Barcelonie. Wróciliśmy co prawda dwa tygodnie wcześniej z prawie całomiesięcznej, dość męczącej wyprawy własnym autem po Bałkanach, ale teraz miał to być przyjemny, kilkudniowy wypad samolotem.

Dzięki tanim przelotom można dzisiaj zwiedzić większość miast, nie tylko w Europie. Do tej pory niedalekie kraje poznawaliśmy w ramach corocznego rodzinno-koleżeńskiego autotouru, czasem wylatywaliśmy też na zwyczajne wakacje z biurem turystycznym, a ostatnio dzięki tanim liniom lotniczym udało nam się poznać między innymi Londyn i Oslo. Teraz czas na Barcelonę, do której dolecieliśmy tuż przed północą, a właściwie wylądowaliśmy w Reus leżącym ok. 120 km od stolicy Katalonii.

Dojazd do samej Barcelony autobusem linii Igualdina za 23 euro od osoby z biletami powrotnymi zajął nam ponad godzinę. Co dziwne po raz pierwszy nam się zdarzyło, że na takim podmiejskim lotnisku nie był podstawiony od razu autobus dla przylatujących, na który czekaliśmy może z pół godziny. Tak więc dopiero ok. 1.30 w nocy wysiedliśmy na barcelońskiej Sants Station.

I co dalej? Planowaliśmy przekoczować gdzieś do rana, bo nasz zarezerwowany hostel kwaterował dopiero od godziny 8.00. Była dość ciepła noc więc park koło dworca Sants wydawał się dobrym pomysłem. Niestety praktycznie cały park był już okupowany przez turystów w podobnej sytuacji do naszej, jak też przez chyba zwykłych włóczęgów. Postanowiliśmy zmierzać w kierunku hotelu, który miał znajdować się w odległości ok. 2 km. Już na alei Tarradellas znaleźliśmy wolne ławki pośród drzew i nie pozostawało nam nic innego jak z nich korzystać. Moja żona z córką odśpiewały mi sto lat i grzecznie poszliśmy spać.

Ja jednak czuwałem z jednym otwartym okiem zerkając na szwendających się co jakiś czas przechodniów wracających do domów z wieczornych balang i zwykłych nocnych wałęsaczy oraz nasze bagaże, które mogły stać się ich łupem. Zastanawiałem się też jak niecodziennie przyszło mi zaczynać dzień mojego jubileuszu. Mimo tych niewygód wolę chyba takie urodziny niż szampańską imprezę w knajpce. Poza tym to dopiero początek dnia, a właściwie to nawet jeszcze noc, gdyż dookoła ogarniała nas spokojna ciemność.

Po paru godzinach drzemki, gdy ujrzałem wstającą z ławki żonę prostującą kręgosłup przekazałem jej pałeczkę czuwania, a sam wróciłem do parku przy Sants Station, by zrobić kilka nocnych fotek stojących tam rzędem latarni morskich, które są jednym z moich ulubionych motywów. Gdy wróciłem po kilkunastu minutach, zaczęło świtać. Zobaczyliśmy, że nasz odcinek drzewiastej alejki mieści się na wprost więzienia. Dochodziła godzina szósta rano, było już widno,

przelatujące mewy zaczęły robić co jakiś czas niezły wrzask, więc nie mieliśmy innego wyjścia jak tylko udać się wprost do hostelu.

Przyjemny poranny spacer tylko nas zachęcił do jak najszybszego rozłożenia się na łózkach. Kupiliśmy po drodze trochę świeżych owoców i napoje, po czym zaczęliśmy szukać miejsca naszego noclegu. Niestety Rezydencja San Marius II, pomimo godziny 8.00 rano, była zamknięta, a na dzwonienie domofonem nikt nie odpowiadał. Ogarnęła nas bezradność, zacząłem dzwonić na telefon komórkowy spisany wcześniej z oferty internetowej, ale też nikt nie odbierał. Gdy tak staliśmy bez pomysłu przed zamkniętymi drzwiami, uchylił je wychodzący pan z córką. Spytałem po angielsku o możliwość wejścia i obsługę, na co on po polsku opowiedział, że poczekamy sobie trochę, bo oni lubią sobie pospać. Co? Niemożliwe...

Znów koczowaliśmy, tym razem na schodach. Po jakiejś pół godzinie przyszedł portier, ale okazało się, że odpowiada on za całą kamienicę, a nie hostel, który mieści się tylko na drugim piętrze. Poradził nam by dzwonić domofonem do skutku, aż się ktoś obudzi. Dzwoniliśmy, ale obudzili się jedynie zakwaterowani tam turyści z Francji, którzy nas wpuścili jedynie na hostelowy hol, a co gorsza poinformowali nas, że obsługa może przyjść dopiero koło dwunastej w południe. No ładnie, a specjalnie przecież wybrałem tę lokalizację, bo podkreślali w swojej ofercie, że check in jest już od 8.00, gdy tymczasem inne hostele i pensjonaty kwaterowały dopiero w godzinach 12-14.00.

Dobra, w takim razie dość koczowania, zamiast do wygodnych łóżeczek idziemy gdzieś na kawę. Na dole portier zagadnął nas czy udało nam się dostać do hostelu, a gdy się dowiedział o naszej sytuacji zaczął dzwonić pod inny numer domofonu budząc w końcu osobę z obsługi. Pośpiesznie wróciliśmy się zameldować, a zaspana ciemnoskóra Hiszpanka nie kryła swojego obruszenia. Na szczęście wskazała nam pokój, ale tylko z jednym łóżkiem. Co gorsza, nie znała za grosz angielskiego, a nasz hiszpański ograniczał się do kilku słów i rozmówek w rękę. Jak ją zrozumieliśmy, miało to być tylko tymczasowe rozwiązanie dopóki zarezerwowany przez nas pokój się nie zwolni.

Szczęściem w całym tym bałaganie było to, że akurat z jednego z pokoi wyprowadzali się inni turyści, więc po krótkiej zmianie pościeli zajęliśmy cztery kąty z dwoma łózkami. Trzecie obiecano nam wstawić później, ale kasę musieliśmy zapłacić z góry za cały pobyt. Cóż chcieliśmy taniego noclegu, to mamy. Ważne, że już jest gdzie złożyć nasze strudzone ciała.

Kilka godzin snu i koło drugiej po południu wyruszamy spacerkiem na miasto. Według mapy do stacji metra mamy kilkaset kroków, ale okazuje się, że przy niej znajduje się jedno z architektonicznych arcydzieł Gaudiego, czyli budynek Casa Mila, zwana też La Pedrera (kamieniołom).

Podziwiamy kamienicę z zewnątrz, bo czekanie w kilkuset osobowej kolejce, by dostać się do środka nie za bardzo nam się teraz uśmiecha. Zamiast tego wybieramy pobliską bagietтеріę. Głodni nie zwracamy uwagi na ceny jedzenia i piwa. Płacimy po 8,5 euro za każdą sztukę takiej sobie bagietki i 8 euro za kufel złotego trunku. Londyn i Oslo wydawały się nam bardzo drogie, ale to co wyrabiają tutaj z cenami to jak dla nas chyba jednak spora przesada.

Idziemy piechotą w kierunku słynnej Rambli, całkiem ładnym Pasażem de Gracia, przy którym znajduje się wiele XIX wiecznych kamienic, w tym także druga słynna, architektoniczna wizja Gaudiego czyli Casa Battlo, przepięknie prezentująca się zwłaszcza nocą. Tak doszliśmy do Placu de Catalunya, gdzie można ochłodzić się w kilku fontannach i nakarmić stadko gołębi.

Weszliśmy na słynny barceloński deptak, czyli La Ramblę. Od razu rzucają się w oczy wystający przy niej najróżniejsi przebierańcy czekający na datki za swoje wysiłki i robienie zdjęć. Są tutaj anioły i diabły, człowiek z głową na talerzu człowiek z głową w dziecięcym wózekczku, postaci z filmów i całkiem wymyślone, jak człowiek kwiat czy pani owoc. Czego jak czego, ale fantazji trzeba im pozazdrościć.

Trudno nam się przebić przez tłum przechodniów, by spokojnie spacerować dalej. Co jakiś czas wokół akrobatów czy tancerzy, albo zwykłych żonglerów piłką zbiera się krąg ludzi, że po prostu nie da się przejść.

Odbijamy w bok do znanego targu spożywczego La Boqueria. Naprawdę warto tam zajrzeć nie tylko dla tych kolorowych widoków owocowych kompozycji, ale po to by skosztować smaku wyśmienitych brzoskwiń i winogron czy popić wspaniałych, świeżych soków. Tak smacznego, melonowych brzoskwiń jakie tam kupiłem, nie jadłem jak dotąd nigdzie na świecie.

Przebijamy się jakoś w kierunku gotyckiej katedry La Seu, przed którą gra bossanowy hiszpańskie trio, a na placu tańczą ludzie w parach. Fajna sprawa, balety przed kościołem. Wchodzimy za darmo do środka, gdzie można również bez problemu fotografować, co nie jest często spotykane w tego typu zabytkowych obiektach. W dzielnicy Bari Gothic przechadzamy się hiszpańskimi uliczkami oglądając jeszcze Ratusz, Palau Generalitat, muzeum Maresa i Palau Reial.

Zmierzamy do portu Vell, gdzie podziwiamy stojącą na trawie łódź podwodną „Ictineo II”, która jest repliką projektu z roku 1862 i przypomina nam okręt kapitana Nemo. Decydujemy się na odwiedzenie Akwarium, w którym największe wrażenie robi na nas szklany tunel z przepływającymi nad głowami rekinami, płaszczkami i murenami.

Potem przechodzimy obok znanego centrum handlowego Maremagnum, ale nie wchodzimy do środka. Kierujemy się nowym, zwodzonym mostem pod Kolumnę Kolumba, który wskazuje na morze. Wracamy na Ramblę, by odpocząć w jednej z tamtejszych knajpek, w której kosztujemy różnych potraw i zamawiamy też między innymi duży kufel sangrii z owocami. Popijając czerwony trunek przez długie słomki przekonujemy się, że ceny, mimo, że to Rambla nie są już tak szokujące jak w tej nieszczęsnej bagieterii koło Casa Mila. Kufel sangrii kosztuje co prawda 15 euro, ale wieczorny klimat w przyjemnej kafejce na Rambli wart jest tej ceny. Było nie było to moje urodziny. Dzień zbliża się ku końcowi, a ja po raz kolejny cieszę się z tego jak przyjemnie przyszło mi świętować swoją „czterdziestkę”.

Kolejny dzień rozpoczęliśmy od przejazdu metrem do ikony Barcelony czyli świątyni Sagrada Familia. Warto kupić od razu 2-3 dniowy karnet na przejazdy wszystkimi środkami transportu publicznego, za jeden dzień wychodzi ok. 5 euro. Po wyjściu ze stacji metra ujrzelśmy olbrzymią kolejkę, chyba z tysiąca osób, do wejścia, ale nam wystarczyło podziwianie sławnej bazyliki z zewnątrz. To szalone, nieukończone dzieło Gaudiego, któremu poświęcił długie lata swojego życia. Co ciekawe stracił on na tym swój cały majątek, bo koszty budowy przekroczyły możliwości miasta i sponsorów.

Genialny artysta zmarł nierozpoznany w szpitalu wskutek ran odniesionych po wpadnięciu pod omnibus. Przez ostatnie 15 lat swego życia zdążył ukończyć jedynie jedną z czterech fasad. Według jego założeń, całość ma stanowić jeden, skomplikowany organizm i ze względu na drobiazgową robotę przy każdej rzeźbie oraz masie detali, jej ukończenie planowane jest dopiero gdzieś przed rokiem 2030. Obecnie podziwianie bazyliki psują rusztowania i dźwigi oraz oczywiście tłumy kręcących się wokół turystów.

Nasz następny przystanek metra Vallcarca miał być przy Parku Guell, ale od stacji trzeba się trochę przespacerować w dół ulicy, a potem w lewo w kierunku ruchomych schodów na wzgórze, z którego rozpościerają się wspaniałe widoki na miasto. Doskonale widać stamtąd między innymi Torre Agbar czyli barcelońskie cygaro, bazylikę Sagrada Familia, katedrę La Seu, port Vell, dwie wieże w porcie Olympic i wzgórze Tibidabo.

Spacerując alejkami przez park, zaprojektowany przez Gaudiego oczywiście, szukaliśmy słynnego jaszczura z mozaiki, który jest częstym motywem barcelońskich gadżetów spotykanych na każdym kroku. Dotarliśmy w końcu na plac, na którym trwała zabawa, pokazy flamenco, koncerty i popisy artystów sztuk wszelakich. Patrząc w dół z tarasu dostrzegliśmy tłum ludzi wokół poszukiwanej przez nas jaszczurzej rzeźby. Nawet nie było jak zrobić sobie standardowej fotki ze sławnym gadem, bo był oblegany przez zbitą masę turystów. Musieliśmy się stąd

ewakuować, bo nie przepadamy za ścisem, poszturchiwaniami i kręceniem się w kółko. Niestety do najbliższej stacji metra Lesseps było z 1,5 kilometra, co w 30 stopniowym upale nie jest zbyt przyjemną przechadzką.

Najwyższy czas poznać barcelońskie plaże, dlatego jechaliśmy do dzielnicy Barceloneta, gdzie można wypocząć nad morzem i zjeść wyszukany obiad z owoców morza w licznych, tamtejszych restauracjach. Plaża jest ładna i szeroka, piasek drobny, ale za to okropne kamienie już przy samym wejściu do morza. Przenieśliśmy się bardziej na lewo na widoczny cypel, na wprost którego w morzu były kamienne falochrony. Tu była mniejsza fala i piaszczyste dno, co pozwalało na spokojniejszą i bezpieczniejszą kąpiel.

Po plażowaniu wstąpiliśmy na obiad do jednej z restauracji oferujących danie dnia za 15 euro, co jest okazyną ofertą, bo otrzymujemy za to dwa dania z menu i dodatkowo do wyboru wino, piwo albo lody. My wzięliśmy między innymi Paella de marisco (owoce morza zapiekane z ryżem), spaghetti bolonese i białe wino. Niestety sangria była tylko za dodatkową opłatą, ale nie mogliśmy sobie jej odmówić. Jak się okazało na rachunku za mały kufel trzeba było zapłacić tam aż 16,5 euro. I tak to się wszystko wyrównuje.

Planowaliśmy jeszcze tego dnia wybrać się kolejką linową na wzgórze Mont Juic, ale odwołali kursy ze względu na silny wiatr. Zamiast tego pojechaliśmy na Plac Espanya na widowisko w stylu „światło i dźwięk” w wykonaniu Magicznej Fontanny przed pałacem, w którym mieści się Muzeum Współczesnej Sztuki Katalońskiej. Mimo tłumów ludzi show, które zaczyna się o 21.00 jest niesamowite i godne polecenia każdemu. Jak dla nas to numer 1 w Barcelonie. Tańcząca fontanna zanurzona w ferii barw przy dźwiękach odpowiednio dobranej muzyki to niezapomniane doznania. Nieziemskiego uroku temu miejscu dodają hiszpańskie schody do pałacu i znajdujące się przed nim liczne podświetlane kaskady.

Trzeciego dnia mieliśmy się wybrać autobusem do Andory, ale zauroczeni Barceloną postanowiliśmy zmienić plany i spędzić w mieście kolejny dzień. Najpierw wybraliśmy się z córką do zoo, gdzie można oglądać między innymi rzadko pokazywane mrówkojady oraz show z delfinami. Ogród zoologiczny mieści się w Parku de la Ciutadela, tuż obok katalońskiego parlamentu. Podobno były plany przeniesienia zwierząt w inne miejsce, by się źle nie kojarzyły z sąsiadującymi z nimi parlamentarzystami. Drugim argumentem za przeprowadzką zoo miał być nieprzyjemny zapach roztaczający się po parku, który wciskał się też do parlamentarnych sal. Jak zdołaliśmy się osobiście przekonać, zoo jak na razie jest tam gdzie było, a nawet widać nowe nabytki, jak wcześniej wymienione mrówkojady.

W Parku de la Ciutadela znajduje się też staw, po którym można

popływać łódkami oglądając przy tym kolorowe kaczkę i żółwie wodne wystawiające na powierzchnię swoje główki. Nieopodal stawu stoi posąg mamuta naturalnych rozmiarów, piękna fontanna tzw. Cascade, a w północnej części Muzeum Historii Naturalnej i Łuk Triumfalny.

Resztę dnia spędziliśmy ponownie w dzielnicy Barceloneta, gdzie znów w jednej z restauracyjek zamówiliśmy zestawy obiadowe z menu dnia. Tym razem jedliśmy niezłe ryby i małże oraz piliśmy całkiem przyzwoite piwo. Po smacznym posiłku udaliśmy się na wieczorny spacer po Rambli, oglądając między innymi Pałac Guell autorstwa Gaudiego i odwiedzając galerię jakiegoś współczesnego artysty żerującego na dorobku innego hiszpańskiego geniusza - Salvadora Dalego.

Zajrzeliśmy też na piękny Plac Reial, gdzie pod arkadami znajduje się mnóstwo kafejek, a do jednej z nich stała nawet kolejka kilkunastu osób czekających na wolne miejsca. Na placu miłe światło dają latarnie zaprojektowane rzecz jasna przez Gaudiego. Podziwialiśmy też tam pokazy akrobatyczne młodych Katalończyków, którzy tworzyli żywe piramidy, co jest ich regionalną tradycją.

Co ciekawe, Barcelona ogłosiła się pierwszym hiszpańskim miastem bez corridy, choć znajduje się tu wielki stadion dla torreadorów, który obecnie wykorzystywany jest chyba do innych celów. Tu warto też wyjaśnić, że Katalończycy uważają się za odrębną nację i mają swoją silną tożsamość narodową. Na każdym kroku wszystkie napisy są w języku katalońskim i kastylijskim (hiszpańskim) oraz często też po angielsku. Stąd też hiszpańska tradycja walk byków jest im raczej obca. Swoją drogą podobno nawet nazywanie mieszkańca Barcelony Hiszpanem jest dzisiaj dla niego obrazą, choć nie próbowaliśmy się o tym przekonać osobiście.

Czwartego dnia ograniczyliśmy się do wyspania, archiwizacji zdjęć, zrobienia niezbędnych zakupów, w tym przesmacznych owoców i rogalików (croissantów) oraz szykowania do wyjazdu. Droga do Reus biegnie wzdłuż morza, więc widoki są bardzo ładne. Zwłaszcza te małe nadmorskie wioski i miasteczka z domami o pomarańczowych dachówkach prezentują się w pełnym słońcu niesamowicie pięknie.

Na lotnisku w Reus musimy czekać 3 godziny, bo innego autobusu na nasz wylot nie było z Barcelony. Na dodatek samolot jest opóźniony o prawie godzinę. Zamawiamy do jedzenia zestaw w barku, o dziwo, w przystępnych cenach w stosunku do tych z Barcelony. Stojąc w kolejce do odprawy, panie z obsługi sprawdzają nam karty pokładowe nie przy swoich stolikach, tylko podchodząc do nas od końca kolejki. To coś nowego, jakiś hiszpański zwyczaj może. Kolejny raz stwierdziliśmy, że od tej pory jak nas coś będzie dziwić, to zamiast standardowego określenia „po chińsku”, będziemy mówić „po hiszpańsku”.

W mieście Kraka wita nas wieczorny chłód i mrzawka. Wszyscy Hiszpanie, którzy przyjechali razem z nami od razu się wzdrygnęli, jakby nieco zaskoczeni taką temperaturą i przyodziali się w kurtki i polary. Widać, że nie za bardzo podobała im się wizja spaceru w deszczu po królewskim Krakowie. My w Barcelonie, przynajmniej z pogodą nie mieliśmy żadnych problemów.